

opusdei.org

Miejsca nadziei – katakumby rzymskie

Tekst na dzień zaduszny ks.
kard. Józefa Ratzingera z
książki "Obrazy nadziei"
(Księgarnia św. Wojciecha,
1998).

06-11-2019

Ulicą grobów dotarliśmy do kraju przeszłości: tak określił w zeszłym stuleciu drogę swej nauki Johann Jakob Bachofen, wieki badacz wygasłych kultur. Od zarania ludzkości ludzie troszczyli się o swoich zmarłych, przez tę troskę

usiłowali ofiarować im pewnego rodzaju drugie życie. Tak więc w świecie umarłych zachował się jakoś miniony świat tych niegdyś żyjących; śmierć zachowała to, czego życie nie mogło zachować. Jak ludzie żyli, co kochali, czego się bali, komu ufali, czym się brzydzili — nigdzie nie dowiemy się tego tak dokładnie jak z grobów, które pozostały nam niby zwierciadła ich świata. I nigdzie nie przeżyjemy tak bezpośrednio i tak aktualnie wczesnego chrześcijaństwa jak w katakumbach: idąc przez ich ciemne korytarze, mamy wrażenie, jakbyśmy sami przekroczyli linię czasu i byli oglądani przez tych, którzy tutaj zachowali swój ból i swoją nadzieję.

Dlaczego właściwie tak się dzieje? Może być wiele powodów; zasadniczy jest z pewnością ten, że śmierć obchodzi nas dokładnie tak samo jak wówczas i jeżeli nawet tyle rzeczy z przeszłości stało się nam

obce — to śmierć pozostała ta sama. W tych często niezgrabnych inskrypcjach nagrobnych, jakie poświęcali rodzice swym dzieciom czy małżonkowie sobie nawzajem, rozpoznajemy siebie — w bólu i nadziei, która z tych napisów przemawia. Więcej: wobec trudnego problemu śmierci szukamy wszyscy jakiegoś oparcia, które pozwoli nam mieć nadzieję; szukamy drogowskazów, szukamy pocieszenia. Kto przechodzi korytarzami katakumb, zostaje wciągnięty nie tylko w solidarność całej ludzkiej żałoby, jaka z nich wyziera; kto tędy przechodzi, nie może, się nawet zmierzyć z melancholią przeszłości: tak całkowicie i dogłębnie jest ona przepojona świadomością zbawienia. Te ulice śmierci są w rzeczywistości drogami nadziei; kto tędy chodzi, ten niechybnie dowie się czegoś o nadziei, jaka tutaj przemawia ze

wszystkich obrazów i ze wszystkich słów.

W tym wszystkim jest naturalnie jeszcze niewiele powiedziane o naszym stosunku do śmierci.

Dlaczego właściwie boimy się śmierci? Dlaczego ludzkość nigdy nie mogła uwierzyć, że po śmierci po prostu zapadnie nicość? Istnieje wiele powodów. Boimy się śmierci najpierw dlatego, że odczuwamy strach przed nicością, przed wejściem w zupełnie nieznaną.

Buntujemy się przeciw niej, bo nie potrafimy teraz uwierzyć, iż tyle wspaniałych i sensownych rzeczy powstałych w życiu, nagle ma się zapaść w nicość. Bronimy się przed nią, bo miłość żąda wieczności i ponieważ nie możemy przyjąć zniszczenia miłości, jakie niesie ze sobą śmierć. Boimy się jej, ponieważ nikt tak łatwo nie może pozbyć się przeczucia, że przyjdzie Sąd, którego bliskość wzmacnia w nas bez

ozdobników wspomnienie
wszystkich win, jakie normalnie
potrafimy zepchnąć na dalszy plan.
Problem Sądu odcisnął swoją pieczęć
na kulturze cmentarnej wszystkich
epok. Miłość otaczająca zmarłego ma
go też ochraniać; to, że towarzyszy
mu tyle wdzięczności, nie może
pozostać bez wpływu na Sądzie - tak
myśleli i tak myślą ludzie.

My jednak dziś staliśmy się
racjonalistami, a przynajmniej tak
sądzimy. Nie interesuje nas traf
przypadek, wolimy coś określonego.
Stad też problemu śmierci nie
chcemy rozwiązywać za pomocą
wiary, lecz metodą sprawdzalnego i
empirycznego poznania. Tak więc
jakiś czas temu opowiadania tych,
którzy przeżyli śmierć kliniczną,
stały się ulubioną lekturą, która dziś
nie budzi już większego
zainteresowania. Uspokojenie, jakie
te lektury niosły, nie zawiedzie nas
daleko. Może być nawet całkiem za-

bawne unosić się przez parę godzin gdzieś w pokoju nad samym sobą i z humorem i wzruszeniem patrzeć z góry na swe martwe ciało i zasmuconych krewnych, ale to z pewnością nie jest zajęciem na całą wieczność. Szukając dowodów empirycznych, wracamy często na zupełnie archaiczne drogi, zanurzamy się w spirytyzm, szukając — w mniej lub bardziej naukowo przykrojonych formach — bezpośredniego kontaktu ze światem po drugiej stronie śmierci. Jednakże i tutaj nie ma żadnych widoków. Znaleźć tu bowiem można najwyżej duplikaty naszego tutejszego życia. Jakież miałyoby to sens, gdybyśmy musieli jeszcze raz — bez miejsca i bez końca egzystować? W rzeczywistości oznacza to dokładnie piekło. Powtórzenie — nieograniczone w czasie — naszego dotychczasowego życia byłoby w istocie potępieniem na zawsze. Nasze ziemskie życie ma swoje ramy

czasowe i dzięki temu można je wytrzymać; wymiar wieczny mógłby być nie do wytrzymania. Ale cóż to znaczy? Nie chcemy śmierci i życia, jakie znamy, nie chcemy ich na zawsze. Czy człowiek jest jakąś istotą pozostająca w sprzeczności, pomyłką natury?

Z tymi pytaniami w sercu przejdźmy jeszcze raz drogą wzdłuż katakumb. Tylko ten, kto w śmierci potrafi rozpoznać nadzieję, potrafi też żyć z nadzieją. Co tym ludziom, którzy tutaj pozostawili szyfr swojej wiary, dawało możliwość tak pogodnej nadziei? Co jeszcze dziś przemawia do nas w ciemnościach podziemnych korytarzy? Po pierwsze, byli oni przekonani o tym, iż człowiek, ograniczony całkowicie do tego, co można empirycznie pojąć, nie ma żadnego sensu. Byli też przekonani, że zwykłe przedłużenie naszej obecnej egzystencji w nieskończoność byłoby absurdem. Jeżeli

już w tym czasie izolacja jest czymś śmiertelnym i tylko ożywia nas zakotwiczenie we wspólnocie miłości, to życie wieczne może mieć jedynie sens w całkiem nowej pełni miłości, która przekracza każdy czas.

Ponieważ ówczesni chrześcijanie znali tę prawdę, wiedzieli także, że człowieka można zrozumieć tylko wtedy, gdy istnieje Bóg. Jeżeli Bóg istnieje — dla nich to „jeżeli” już nie istniało, i w tym tylko leży rozwiązanie. Bóg wyszedł z nieznannej dali i wstąpił w ich życie, mówiąc: „Ja jestem

zmartwychwstaniem i życiem” (J 11,25). Jeszcze inne słowa Pana rozjaśniają ciemność śmierci: „Ja jestem drogą i prawdą, i życiem” (J 14,6). Na strach Sądu pada światło z tego, co Jezus rzekł z krzyża ukrzyżowanemu łotrowi: „Dziś ze Mną będziesz w raju” (Łk 23,43).

Przede wszystkim Jezus zmartwychwstał i powiedział: „W domu Ojca mego jest mieszkań wiele

(...) Idę przecież przygotować wam miejsce” (J 14,2). Bóg nie był już tutaj jakimś dalekim „jeżeli”. On tu był. Istniał rzeczywiście. Ukazał się i był dostępny.

Dalej zaś wszystko inne było prostą konsekwencją tego stanu rzeczy. Albowiem jeżeli Bóg istnieje, jeżeli ten Bóg chciał i chce mieć człowieka, to jasne jest, że jego miłość potrafi to, co nasza daremnie usiłuje uczynić, a mianowicie: ukochanego utrzymać przy życiu poza granicami śmierci. Nasze cmentarze z ich oznakami przywiązania i wierności są właściwie takimi próbami miłości, która chce drugiego jakoś przytrzymać i dać mu trochę życia. I rzeczywiście, żyje jeszcze trochę w nas nie on sam, ale coś z niego. Bóg potrafi zachować nie tylko myśli, wspomnienia, dzieła, lecz także każdego człowieka w jego tożsamości. W ten sposób dla chrześcijan również załączki filozofii

starożytnej miały swój sens. Ta filozofia mówiła: jeżeli chcesz przetrwać poza granice śmierci, musisz w sobie możliwie wiele nabrać z tego, co jest wieczne: prawdę, sprawiedliwość, dobro. Im więcej z tego posiadasz w sobie, tym więcej pozostanie z ciebie, tym bardziej ty pozostaniesz. Albo lepiej: musisz się przyczepić do tego, co wieczne, tak że będziesz należeć do niego i masz udział w jego wieczności. Przyczepić się do prawdy i w ten sposób należeć do Niezniszczalnego. Teraz stało się to bardzo realne, bardzo bliskie: przyczep się do Chrystusa, On przeniesie cię przez noc śmierci, którą sam już przeszedł. Stąd otrzymuje sens nieśmiertelność. Nie jest ona już teraz trwającym w nieskończoność powtórzeniem teraźniejszości, lecz czymś nowym, a jednak rzeczywiście nasza wiecznością: być w rękach Boga i być jedno ze wszystkim, co On stworzył. Być

jedno ze stworzeniem - to jest dopiero rzeczywiste życie, które teraz widzimy tylko jakby za mgłą. Bez odpowiedzi na pytanie o Boga śmierć pozostaje okrutną zagadką, a każda inna odpowiedź wiedzie do sprzeczności. Jeżeli jednak Bóg istnieje, ten Bóg, który ukazał się w Jezusie Chrystusie, to w taki razie istnieje życie wieczne, i wówczas również śmierć jest drogą nadziei.

To nowe doświadczenie nadaje katakumbom szczególne piętno. Jeżeli nawet z powodu niepomyślnych warunków duży część tych obrazów skruszyła i wyblakła, to jednak - mimo upływu wieków nic nie straciły one z pierwotnego blasku, a przede wszystkim: z prawdy nadziei, z której się narodziły. To są młodzieńcy w piecu ognistym; to jest Jonasz wyrzucony z brzucha potwora znów na światło; to jest Daniel w jaskini lwów i wielu innych; najpiękniejszy jest Dobry

Pasterz, którego przewodnictwu można się powierzyć bez obaw i leku, ponieważ On zna drogę, również przez ciemną dolinę śmierci. „Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego (...). Chociażbym chodził ciemna dolną, zła się nie ulęknę, bo Ty jesteś ze mną” (Ps 23,1.4).

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/miejsca-nadziei-katakumby-rzymskie/> (16-07-2025)